

---

---

# WYKRADZENIE WIĘZNIÓW Z PAWIAKA.

---

---

I. Przygotowania.

II. Wydanie rozkazów.

III. Przed Pawiakiem.

IV. Na Pawiaku.

V. W kancelaryi więzienia.

VI. Nieszczęśliwy skazaniec.

VII. Piekło niepewności.

VIII. Porwanie więźniów.

IX. Ucieczka

X. W karetce więziennej.

XI. Ocalenie.

XII. Zakończenie.

# Wykradzenie więźniów.

## I. Przedwstępne przygotowania.

W roku 1906 z więzienia śledczego na Pawia-  
ku w Warszawie wykradzono 10 więźniów.

Zrobione to było w tak wyjątkowych i szcze-  
gólnych warunkach, bez naruszenia zamków, łamania  
drzwi, bez jakiegokolwiek przemocy nad administracją  
więzienną, że trudno nie podziwiać śmiałości, pomy-  
słowości i precyzji w wykonaniu zamierzonego planu.  
Ze względu na szczegóły, ucieczka ta wydaje się po-  
dobną do jakiejś bajecznej epopei, której bohaterowie  
zwalczają wszelkie przeszkody, przenikają grube mury  
więzienne, przerywają zaczarowane kręgi i ratują umę-  
czonych ludzi. Wszystko uchodzi im bezkarnie, jakby  
posiadali w ręku tajemniczy talizman. Tak i w tej  
„bajce rzeczywistości...”<sup>4</sup> Dziesięciu uwięzionym wrę-  
czono akt oskarżenia, według artykułu 279, grożącego  
karą śmierci. I oto zjawia się garstka ludzi, obda-  
rzonych talizmanem męstwa i niewzruszoną stanow-  
czością „zwyctężyć lub umrzeć”. Widziałem się z tym  
rzekomym rotmistrzem żandarmskim Budbergiem, któ-  
ry wyprowadził z więzienia skazańców. Przyszedł on  
z zupełną swobodą do mego hotelowego numeru i dłu-  
go ze mną rozmawiał, obszernie opowiadając o naj-  
drobniejszych szczegółach ucieczki. Jest to młody  
jeszcze mężczyzna, nie liczący więcej nad 32 do 34  
lat, wysoki, pięknie zbudowany. Jego otwarta, wy-  
tworna fizjonomia, łagodne, dobre oczy, od razu do-  
brze do niego usposabiają. Cała figura nie zdradza

02



230265

BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0100498

D-159/95

7.4

3. VIII. 36.

D-95/142/33

wielkiej siły fizycznej. Jest smukły, giętki i zapewne zręczny, lecz nie silny. Bardzo inteligentny i rozwinęty umysłowo. Mowa jego sprawia równie dodatnie wrażenie, jak i on sam. Mówił łagodnym, serdecznie brzmiącym głosem, bez cienia jakiegokolwiek pozy, ze zbytnią nawet skromnością, gdy mówił o sobie. Tak naturalnie przedstawił on obraz ucieczki, z roz wagą zatrzymując się na niektórych okolicznościach, zmuszających do ostrożności, lub budzących niebezpieczeństwo, składając tem dowody wielkiej spostrzegawczości i bacności na wszelkie drobiazgi, z którymi trzeba było się liczyć, przy współrzednem zachowaniu zupełnego spokoju i obojętności na niebezpieczeństwo.

Widząc go tak spokojnie siedzącego w moim numerze i opowiadającego z prostotą epicką o tem co było—mimowoli pomyślałem: czyżby istotnie, po wykonaniu swego planu—mógł on również spokojnie mieszkać w dalszym ciągu w mieście, jak teraz—z zupełną abnegacją niebezpieczeństwa, gdy siedział naprzeciw mnie przy stole? A może też znikł on na czas pewien gdzieś zagranicą, żeby go na razie nie poznano, chociażby przy wypadkowym spotkaniu któregośkolwiek z oficjalistów więziennych, którzy widzieli go, gdy spełniał „na Pawiaku“ swoją „czynność żandarmską“. Zapytałem go o to i otrzymałem następującą odpowiedź:

— Nie, nie wyjeżdżałem z miasta i, nie zmieniając trybu życia, wychodziłem, jak dawniej na ulicę, spacerowałem, spotykałem się ze swymi znajomymi, przyjaciółmi... Pewnego razu, niedługo nawet po dokonanej fawcie, spotkałem się wypadkowo z nadzorcą więzienia, który wydał owych więźniów politycznych. Jechałem tramwajem... nagle tuż obok mnie usiadł nadzorca. Spojrzałem na niego, on również baczenie mnie obejrzał. W pierwszej chwili wydało mi się, że poznał mnie; sytuacja stała się drażliwą: lada

chwila mógł zrobić alarm, krzyknąć na patrol i oddać mnie w ręce administracji; lecz, widocznie, nie starczyło mu determinacji. W spojrzeniu jego zdołałem pochwycić jakieś pomieszanie, obawę i pewne wahanie, a następnie, prawie nagle i demonstracyjnie wyskoczył on z tramwaju, ja zaś pojechałem dalej.

Rzekomy baron Budberg—tem nazwiskiem będę go nazywał—był członkiem Polskiej partji socjalistycznej, tak zwanej P. P. S.

Ucieczka, którą opisuję, była przygotowana przez tę właśnie partję i prócz „barona“, brało w niej udział jeszcze sześciu „policjantów“, z których jeden był „starszym“. Prócz tego zorganizowana jeszcze była rezerwa z kilku ludzi. Obowiązkiem jej było zabrać 17 rewolwerów, pozostawionych w karecie więziennej, a których partja nie chciała pozostawić w rękach policji. Przy wyborze osób, którym zamierzono dać wolność, partja kierowała się jedynie wysokością kary, grożącej uwięzionym: pozostawiała ona zupełnie na stronie względy partyjne i nie zwracała uwagi, czy więzień należał do ich partji, czy też do jakiej innej. Mając to na względzie, Polska partja socjalistyczna zebrała uprzednio dokładne wiadomości, komu ze znajdujących się w więzieniu śledczem grozi kara śmierci; następnie postarano się wyjaśnić, kto z tej kategorii uwięzionych najbardziej jest beznadziejnym, z mocy jawnych przeciwko niemu poszlak, oraz kto najbardziej jest nienawistny dla administracji.

Otrzymawszy w ten sposób ostateczną listę podsądnych, którzy nie mogli uniknąć śmierci — partja postanowiła ich ocalić. Odnośnie do jednego z tych dziesięciu decyzja zapadła w ostatniej chwili.

Przed ułożeniem odezwy urzędowej od warszawskiego oberpolicmajstra do naczelnika więzienia śledczego, niespodzianie otrzymano wiadomość, że według aktu oskarżenia, wręczonego jednemu z dziesię-

ciu, zamiast kary śmierci projektuje się inna kara, wtedy gdy drugiemu więźniowi p. M. zupełnie nieoczekiwanie wręczono akt oskarżenia tego samego dnia, grożący śmiercią — oskarżenia zupełnie nieuzasadnionego.

Nikt z adwokatów, ani też sam M., nieoczekiwał tego.

Z tem wszystkim, polska partja socjalistyczna postanowiła i jego ocalić i włączyła do listy osób, które miano uwolnić.

Trzeba zauważyć, że partja uznała za lepsze nie uprzedzać o tem więźniów, iż w czasie oznaczonym zjawią się w więzieniu ich zbawcy: bała się ona-że ktokolwiek z nich może ujawnić zbytne wzruszenie, nie potrafiwszy zapanować nad radością i popelni jakąś nieostrożność.

Niewłaściwe spojrzenie, uśmiech, ożywiony wyraz twarzy, szybkość ruchów — wszystko to mogło zdradzić, zniweczyć całe to ryzykowne przedsięwzięcie i dlatego postanowiono utrzymać wszystko w tajemnicy i nie uświadamiać uwięzionych towarzyszy.

Oprócz rzekomego żandarma Budberga, udało mi się zobaczyć i poznać się z jednym z pseudo-policjantów, który miał wyznaczoną bardzo ważną rolę.

Z jego opowiadania wyniosłem przeświadczenie, że musieli oni porządnie się napracować, zanim mogli przystąpić do akcji.

Przedtem odbyli oni liczne próby, różne reperytycje i dzięki temu osiągnęli zdumiewającą karność. Role każdej osoby były ściśle określone, i każdemu wskazane, i każdy mógł je wybornie odegrać.

## II. Wydanie rozkazów.

O godzinie 1-ej po północy zatelefonował do więzienia śledczego niby to oberpolicmajster m. Warszawy — Meyer i wezwał dyżurnego urzędnika.

Do telefonu podszedł pomocnik naczelnika więzienia, znajdujący się w owym czasie na dyżurze.

Przyłożywszy trąbkę do ucha, poznał on odrazu głos oberpolicmajstra; Mejer mówił jakoś nadzwyczaj wolno, metodycznie, równym, przyciszonym głosem z nieznacznym akcentem.

Pomocnik naczelnika więzienia znał dobrze manierę oberpolicmajstra, i dlatego zapewne zawsze mógł głos jego odróżnić od setki innych.

Gdy ten głos wyższego zwierzchnika ozwał się w trąbce telefonu — „dyżurny“ w więzieniu zamienił się cały w słuch, notując w pamięci każde słowo z tego, co było mówione. Pseudo-policmajster polecił mu wziąć fonogram i zapisać jego rozporządzenie, żeby nie było jakiegokolwiek nieporozumienia. Dyżurny spełnił to polecenie.

Mniemany naczelnik policji rozkazał mu natychmiast przygotować wszystko, co było koniecznem dla wyprawienia dziesięciu więźniów z więzienia śledczego „na Pawiaku“ do 10 pawilonu cytadeli warszawskiej ze szczegółowem wymienieniem ich imion i nazwisk. Zarazem żądał, żeby wyprawiono ich w karcie więziennej, ponieważ karety policyjne wszystkie były zajęte i prosił przyspieszyć niezbędne przygotowania, gdyż za kwadrans przyjedzie do więzienia oficer żandarmski z konwojem, którego zatrzymywać w żadnym razie nie można.

Wydawszy to rozporządzenie, rzekomy oberpolicmajster zażądał, żeby „dyżurny“ odczytał to, co było przez niego zapisane, dla sprawdzenia, czy nie zaszła jaka omyłka co do nazwisk, poczem, gdy się przekonał, że wszystko w porządku, telefon zamknął.

Dyżurny w więzieniu wydał natychmiast niezbędne rozporządzenia. Osobista prośba policmajstra: „działać spiesźnie“, sprawiła swój skutek, zaczął też gorączkowo wydawać rozkazy dozorcóm, żeby obudzi-

li więźniów i przygotowali ich do natychmiastowego wyjazdu, sam zaś usiadł przy biurku, celem przygotowania osobistych dokumentów więźniów dla wręczenia oczekivanemu rotmistrzowi żandarmów.

W tej chwili przypomniał sobie, że nie dał jeszcze rozporządzenia woźnicy, żeby ten zaprzęgał konie i prędzej zajechał z karetą więzienną.

Wiele trudu kosztowało rozbudzenie wśród głuchej nocy dozorców i woźnicy. Po chwilowem zamieszaniu i bieganiu, wszystko niebawem się uspokoiło...

Każdy spieszył wykonać otrzymane rozkazy i po upływie pewnego czasu w więzieniu zapanowała cisza.

### III. Przed Pawiakiem.

Więzienie pogrążone było w śnie głębokim. Z pośród nocnej mgły ponuro występowały ogromne mury więzienne, podobne do olbrzymich głazów kamiennych. Ciszy martwej i spokoju nic nie przerywało, niekiedy tylko dolatywały echa miarowych kroków szyldwachy, chodzącego koło murów więziennych, a nadto połyskujące w szybach nikle światełka mówiły wypadkowym przechodniom, że tak się tam życie, okropne życie ciągłego oczekiwania kaźni...

Martwy spokój szedł do samych gmachów więziennych w tę noc ciemną.

Spał mocno i odźwierny przy bramie i nie słyszał, gdy o drugiej godzinie w nocy zajechały przed więzienie dwa powozy, z których wyszli rotmistrz żandarmerji i sześciu policjantów.

Oficer i starszy policjant, podszedłszy do furtki, zapukali do małego okienka.

Długo nie było żadnej odpowiedzi: w końcu, po silniejszych uderzeniach, otwarło się okienko, w którym ukazała się głowa rozspanego odźwiernego.

Starszy policjant krzyknął opryskliwie na niego:

— Cóż to, nie widzisz? Przyjechał pan rotmistrz żandarmerji!...

Rozpoznawszy uniform oficerski i kilku policjantów, odźwierny pospiesznie otworzył bramę, przepuszczając wszystkich do wnętrza i przeprasząc za chwilowe opóźnienie.

Oficer zrobił mu surową uwagę, że nie wolno spać przy bramie i że źle spełnia swe obowiązki, poczem rozkazał zameldować o swoim przybyciu naczelnikowi więzienia i przeprowadzić się do kancelarji.

Wrota więzienia zapadły się z traskiem.

### VI. Na Pawiaku.

W głębi więzienia policjanci znaleźli się na niewielkiem podwórzu wewnętrznym, otoczonym ze wszystkich stron gmachami więziennymi i murami. Rozsiedli się swobodnie na ganku, w oczekiwaniu na karetę więzienną; rotmistrz udał się do kancelarji.

Policjanci zachowywali się tak naturalnie, z taką nieprzymuszoną prostotą, że nie mogli wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia.

Jedni z nich drzemali, drudzy mieli tak obojętne fizjonomje, że nie zachęcali do rozpoczęcia z nimi rozmowy dozorców więziennych, którzy przez ciekawość wyszli na ganek.

Gdy jeden z dozorców zaczął coś mówić, starszy policjant zrobił wytkłą minę i uchylił się od rozmowy pod pretekstem, że naczelnik ich, rotmistrz, jest człowiekiem bardzo surowym i srogim.

Następnie starszy policjant przeszedł się kilka razy po podwórku, zajrzał do okien kordegardy i przekonał się, że żandarmerja i konwój pogrążeni są w śnie mocnym.

W milczeniu, usiadłszy na stopniu ganku, ziewnął słodko i, zwiesiwszy głowę na kolana, zaczął drzemać...

Ciemna bezksiężycowa noc sprzyjała planom. Całe niebo pokrywały chmury ołowiane.

Wszystko zależało teraz od barona Budberga. Czy zdoła on otrzymać prędko uwiezionych towarzyszy? Czy nie wzbudzi w czemkolwiek podejrzenia?

Pod maską spokoju i zupełnej obojętności względem tego, co ich otaczało, sześciu policjantów wsłuchiwało się pilnie, co się dzieje wewnątrz więzienia tam, za gankiem w kancelarji.

Chwytali najmniejszy szmer, poruszenie, oczekując z bijącym sercem, czy nie ozwie się sygnał rotmistrza żandarmów, żeby natychmiast rzucić się mu na pomoc z rewolwerami w rękach i ogniem torować drogę sobie i swym uwiezionym towarzyszom.

W tym celu było umówione między nimi, że w razie, jeżeli mistyfikacja będzie zdemaskowana, przerwą natychmiast druty telefonowe i sygnałowe, zapasowe rewolwery rozdadzą tym z uwiezionych, których zdążą przyprowadzić do kancelarji i wspólnymi siłami napadną na administrację więzienia.

### W kancelarji więzienia

W tym czasie baron Budberg wszedł do kancelarji więziennej, podał rękę dyżurującemu pomocnikowi na czelnika więzienia, Maciulewiczowi, wręczył mu adresowany na imię naczelnika więzienia zapieczętowany pakiet ze stemplem kancelarji warszawskiego oberpolicmastra, opatrzony kolejnym numerem dziennika ekspedycji, z pieczęcią lakową oberpolicmajstra.

Adres na kopercie napisany był na maszynie piszącej.

Wręczając ten pakiet baron Budberg zapytał Maciulewicza:

— Czy wszystko gotowe do wyprawienia więźniów politycznych?

— Najmocniej proszę o wybaczenie—odparł tonem pokornego służbisty—pan rotmistrz będzie mu-

siał chwilę poczekać; jeszcze nie wszystkie papiery przygotowane. Niech pan będzie łaskaw spocząć.

Baron rozgniewał się za tę zwłokę i tonem zwierzchnika powiedział:

— Przecież pana uprzedził oberpolicmajster, by na chwilę mego przyjazdu było wszystko gotowe. Dlaczegoż ta zwłoka? Czy zapomniałeś pan, jak trzeba wypełniać rozporządzenia władzy?

— Proszę o wybaczenie, panie rotmistrzu, upewniam jednak, że nie zawinił... skoro otrzymałem telefoniczny rozkaz jego ekscelencji, natychmiast siadłem do biurka przygotować papiery. Pan zabiera od razu tak wielu aresztantów, że nie miałem możności wypełnić wszystkich formalności kancelaryjnych w ciągu jakiejś pół godziny... pozostało mi tylko kilka papierów.

— Spiesz się pan, żebym długo nie czekał i wydadaj rozporządzenie wyprowadzenia aresztantów — łagodniej już powiedział baron Budberg.

Maciulewicz spiesznie wydał rozkaz kilku dozorcóm, sam zaś wziął się do pisania i jak służbista, surowo znonitowany przez zwierzchnika, utonął cały w papierach kancelaryjnych, obawiając się wywołać gniew rotmistrza.

I tak dalece zagłębił się w pracy, tak spieszył naprawiać służbowe uchybienie, za które natarto mu uszów, że nie zwracał już na nic uwagi i nie wdawał się w żadne rozmowy.

A oto właśnie chodziło rotmistrzowi Budbergowi.

Usiadł on swobodnie przy stole naprzeciwko Maciulewicza, powoli wydobyl papierosnicę z bocznej kieszeni i zapalki; zapalił papierosa, poczem nader uważnie rozejrzał się wokoło, zapamiętał rozkład drzwi, miejsce, gdzie znajdował się telefon miejski, wewnętrzna sygnalizacja i dzwonki.

Kancelarja mieściła się w niewielkim względnie

pokoju, zastawionym wszędzie stołami, z brudną podłogą.

Baron Budberg oczekiwał spokojnie, nie okazując najmniejszego wruszenia, lecz jednocześnie bacznie śledził każdy ruch Maciulewicza, szczególnie zaś wyraz jego twarzy.

Gdy Maciulewicz wziął do ręki otrzymany od rotmistrza pakiet, obrócił go w rękę, popatrzył na pieczęć i wreszcie otworzył, baron skupił na nim całą uwagę, usiłując z wyrazu jego twarzy wyczytać, czy w odezwie nie znalazła się jaka omyłka, czy zachowane w niej zostały ściśle i wiernie wszelkie subtelności kancelaryjne; czy nie nasunie mu się myśl, że wszystko to jest mistyfikacją.

W nagłówku odezwy był litografowany stempel warsz. oberpolicmajstra z kolejnym numerem ekspedycji; cała jej treść drukowana była na maszynie, następnie szły podpisy: oberpolicmajstra, naczelnika kancelarii i sekretarza.

Odezwa nakazywała naczelnikowi więzienia śledczego wydać okazicielowi pakietu, oddzielnego korpusu żandarmów rotmistrzowi von Budbergowi, dziesięciu więźniów, z wymienieniem ich nazwisk i imion, oraz z dokładnem wyszczególnieniem z czyjego rozkazu każdy z nich został uwięziony i w rozporządzeniu jakiej władzy pozostaje.

Przeczytawszy ten nakaz, Maciulewicz zrobił uwagę:

— Rzecz szczególna, doprawdy, oberpolicmajster daje rozkaz, abym wydał panu więźnia N., a tymczasem mam inne rozporządzenie, które otrzymałem dnia dzisiejszego, żebym wysłał go do gmachu sądu wojennego, gdzie ma być obecny przy roztrząsaniu sprawy. Nic nie rozumiem! Cóż teraz robić?

Baron drgnął... nie wiedział on, że o jednym z więźniów wszczęto konferencję, by go przenieść

gdzieindziej. Niemila ta okoliczność mogłaby zepsuć całą sprawę, gdyby Maciulewicz nie był tak przelekniony surowością rotmistrza.

— Tak wiem o tem... wezmę go z sobą i odдам w kancelarji cytadeli, żeby stamtąd wyprawili go do sądu... Kończ pan prędzej...

— Jak pan każe — zgodził się Maciulewicz pokornie i znów utonął w papierach.

Sprawdził on skrupulatnie wszystkie nazwiska z rozporządzeniem uprzednio otrzymanem przez telefon, a przekonawszy się, że niema pomyłki, zaczął pisać.

Upływały długie chwile trwożnego oczekiwania.. Baron liczył je z niecierpliwością, tłumiąc w sobie silne wruszenie, gdyż wiedział, że każda minuta zwłoki może zaważyć na szali ich życia.

Palil papierosy jeden za drugim, całą siłą hamując w sobie straszne napięcie nerwów.

Martwa cisza panowała wokoło...

Z poza grubych drzwi żelaznych, wiodących z kancelarji do więzienia, nie dolatywał najmniejszy szmer. Nic nie zdradzało jakichkolwiek przygotowań do wyprawienia więźniów, którzy lada chwila powinni być dostawieni do kancelarji.

Ta przygniatająca cisza, senny spokój więzienia przytłaczały barona; w duszy jego wszystko wrzało; wstał, żeby przejść się po pokoju.

Maciulewicz podniósł głowę, spojrział w stronę rotmistrza i odezwał się nieśmiało:

— Żeby pan wiedział, panie rotmistrzu, jaką męką jest służba przy takich porządkach. Więzienie przepelnione, co mówię—przepelnione—poprostu nabite w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Napchano aresztantów dwa razy tyle, na ilu jest miejsc; stąd też wynikają różne nieprzyjemności, pretensje... Nie jesteśmy w możności spełnić ich żądań, a z drugiej

strony władza wymaga najściślejszego wykonywania przepisów. Coś nie coś nie tak... natychmiast surowa nagana. A i aresztanci—lud niespokojny... Same tylko nieprzyjemności... to nie służba, ale katorga.

— W takim razie powinieneś pan być bardzo zadowolony, panie Maciulewicz, że zabieram od pana tak wielu aresztantów i jeszcze tak niebezpiecznych—powiedział baron z pewną ironją w głosie.

— Zapewne; ale co to znaczy dziesięciu ludzi, gdy chodzi o setki aresztantów, przepelniających więzienie... ot, gdyby pan zwrócił na to uwagę władzy i gdyby zechciała ona to uwzględnić... lepiej byłoby żyć...

W tej chwili odsunęła się ciężka zasuwka drzwi żelaznych, wiodących do więzienia; baron zwrócił się z miejsca i skierowawszy wzrok w tym kierunku, czekał z niecierpliwością.

Drzwi otworzyły się, na progu ukazał się starszy dozorca i, zwracając się do dyżurnego, raportował:

— W tej chwili będą wyprowadzali aresztantów... Wszystko gotowe.

## VI. Nieszczęśliwy skazaniec.

Dnia tego ciężkie chwile przeżył M. jeden z więźniów. Rano do jego ciasnej, małej celi przyszedł w całym swym blasku generał, jeden z członków sądu wojennego i uroczyście wręczył mu akt oskarżenia, z art. 273, grożącego mu karą śmierci. Widok tego syrena, pełnego zadowolenia, jego mundur błyszczący, ugrzeczniona mowa, przy okrutnych i niesprawiedliwych słowach aktu oskarżenia, wywarły na nieszczęśliwym młodzieńcu przynębiające wrażenie; chwilami zdawało mu się, że to był przebrany kat, który przyszedł z zamiarem pastwienia się nad nim i męczenia swej ofiary. Zapowiedź, że grozi mu kara śmierci uderzyła go, jak grom; nie oczekiwał tego,

gdyż był zupełnie niewinny, nie wiedział i nie rozumiał za co mogli go skazać na karę śmierci?

Przedtem wręczony mu był inny akt oskarżenia, z następstwem kary niewielkiej. I teraz nagle taka zmiana.

— Dlaczego? Jaka przyczyna?—gubił się w domysłach.

Po wyjściu generała wpadł w straszny rozstrój nerwowy, długo chodził z kąta w kąt po swojej celi, opuściwszy głowę. Niekiedy z piersi jego rwały się krótkie oderwane zdania, jakby odpowiedzi samemu sobie, na męczące go pytania. Podniecenie jego rosło.

Zmęczona wyobraźnia nasuwała mu ponure obrazy: zdawało mu się, że wyrok już zatwierdzono i lada chwila czeka go kaźń... Z oczyma palającymi zatrzymywał się po środku swej celi i z zamierającym sercem wsłuchiwał się w najłżejsze szmery, idące z kurytarza, starał się rozróżnić kroki, zbliżające się do drzwi...

Z każdą chwilą oczekiwał, że oto otworzą się drzwi i na progu ukaże się czerwona figura kata...

Oczekiwanie to męczyło go, jak zmora...

Lepiej skrócić, przerwać te straszne męki, lepiej samemu rzucić się w objęcia śmierci, niż czekać na nią z pokorą.

I nie mógł znieść tej męki. Wyczekawszy chwili, gdy szpiegowskie „oko“ we drzwiach przymknęło się, młodzieniec chwycił drżącymi rękami prześcieradło i skręcił z niego sznur, którego jeden koniec przywiązał do kraty okna, a z drugiego zrobił pętlę, zacisnął ją na szyi i zawisł...

W tej chwili z lekkim szmerem otworzyło się „oko nadzorcze“... drzwi naraz szumnie się rozwarły; wylekniony dozorca więzienny wpadł do celi i zdjął nieszczęśliwego z pętli śmiertelnej. Złożono go na tapczanie, zawiadomiono naczelnika więzienia, zdwojono nadzór.



Długo leżał na tapczanie, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w jeden punkt. Leżał, nie czując, nie myśląc. Stracił świadomość tego, co go otaczało. O zwykłej porze przyniesiono mu obiad. Nie tknął go. Wieczorem przynieśli czajnik z wrzątkiem, zaproponowano naparzyć herbatę — odmówił. O 10-ej wieczorem administracja więzienia, obchodząc więźniów, weszła do jego celi: on wciąż leżał obojętny, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest i co się z nim dzieje?

Przyszła noc... zaczął drzemać, wplószczając na tapczanie. Sen złagodził jego cierpienia, zatarł w jego pamięci wszystko, co było męczące i straszne, a co przeżył w tym dniu fatalnym; w czarownych rojeniach roztoczył przed nim inne obrazy, radosne; w jego zgorączkowanym mózgu powstały, jak żywe, wspomnienia drogich lat dziecięcych.

Za drzwiami zaskrzypiała zasuwka żelazna. Ozwał się ostry metaliczny dźwięk drzwi otwieranych, na progu stanął starszy dozorca więzienny, żołnierz z kabinem i kilku innych dozorców w głębi.

Starszy dozorca, zwracając się do więźnia, powiedział tonem suchym.

— Zbierz pan swe rzeczy i wychodź.

Zerwał się naraz z tapczana, usiłując oprzytomnieć, gdzie jest? Co to za ludzie i czego chcą od niego? Otrząsnąwszy się z rojeń sennych, zrozumiał, że to kaci, którzy poprowadzą go na kaźń, na szafot i z piersi jego wyrwał się jęk rozpaczny:

— Za co?

Nie było wątpliwości, że prowadzą go na kaźń. Gdzieżby indziej w tak późną noc; niebawem świtać zacznie... Dozorca milczał: wyraz jego twarzy był chłodny, obojętny, jakby drewniany. Widząc jednak powolność ruchów więźnia, zaczął go gniewnie pobudzać, mówiąc, że oczekują go w kancelarji.

Nieszczęsny młodzieniec!... domyśla się on, że tam, w kancelaryi, czeka go kat w czerwonej koszuli, czarna kareta, zwiększony konwój... a tam... śmierć!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, poszedł za strażnikami więzienia.

Wyszedłszy do kancelarji, zobaczył kilku innych więźniów, których zapewne oczekiwał taki sam los oplakany. Tu znajdowała się i straż więzienna i oficer żandarmski.

Ten ostatni odrazu zwrócił uwagę na tego bladego, zmieszanego młodzieńca, zrozumiał, jak wiele przeżył on w ciągu ciężkich chwil oczekiwania śmierci.

## VII. Pękło niepewności.

Wprowadzono innych aresztantów i niewielki pokój kancelaryjny stawał się coraz ciasniejszy.

Baron Budberg z niecierpliwością oczekiwał, kiedy nareszcie skończą się te przygotowania, i pilnie śledził za niemi.

Na twarzach wszystkich więźniów wypisane było wzruszenie trwożne: gubili się w domysłach, dlaczego wyciągnięto ich z cel więziennych, w noc tak późną i dokąd ich wieźć zamierzają?

Gdyby tylko miano ich przewieźć do innego więzienia, to można byłoby zrobić również dobrze to w dzień, a nie nocą. Dlatego można przypuszczać, że wywożą ich teraz w innym celu, być może na miejsce kaźni?

To pytanie męczące świdrowało ich mózgi.

Wtem baron Budberg uczył na sobie spojrzenie jednego z aresztantów i gdy oczy ich spotkały się, poznali się wzajemnie.

Uwięziony odrazu domyślił się, dlaczego jego towarzysz przebrał się w uniform żandarmski i dokąd ich teraz powiozą. Spotykał się z nim dawniej w polskiej partji socjalistycznej, gdzie wspólnie pracowali.

Radość niedoopisania odbiła się mimowoli na twarzy więźnia i bar. Budberg wyczytał w jego oczach tak bezgraniczne poddanie się i wdzięczność, że zląkł się o pomyślny wynik całej sprawy.

Z miejsca też odwrócił się do niego plecami i żeby dozorca więzienia nie zauważył błędnego pełnego szczęścia wyrazu twarzy aresztanta, odezwał się do dozorey w tonie ostrym i rozkazującym, czyniąc surową uwagę za powolność wyprawiania aresztantów, poczem skierowali się do wyjścia.

Dozorca zląkł się, zaczął się gorączkować i z kolei, gdy groźny rotmistrz wyszedł z kancelarji, wpadł z gniewem na strażnika więziennego i zmył mu głowę porządnie. Wyszedłszy na ganek, rotmistrz spotkał się ze starszym strażnikiem więzienia i krzyknął surowo:

— Pośpieszyć! Wyprowadzajcie aresztantów!

To rzekłszy, wyszedł na podwórko zobaczyć czy przygotowaną została karetką więzienna i czy wszyscy policjanci są na miejscu. Tu odetchnął pełną piersią, wciągając głęboko świeże powietrze noce i tem uspokoił nieco nerwy.

Cisza nocey, panującej nad wszystkim dodała mu energii i nadziei w pomyślnie zakończenie niebezpiecznej imprezy. Kareta stała już przed gankiem. Tu też znalazł on swoich, niby to drzemających, policjantów.

— Bacność! do szeregu—zakomendował.

Policjanci odrazu zerwali się na nogi i wyciągnęli klinem między gankiem i drzwiami karety, w ten sposób, żeby żaden z więźniów nie mógł uczynić nawet próby ucieczki.

Wytworzyła się sytuacja interesująca w wysokim stopniu: ludzie ci przybyli do więzienia, żeby uwolnić swoich towarzyszy, lecz jednocześnie, znając wybornie psychologję aresztantów, musieli wyteńczyć uwagę, żeby

który z nich nie spróbował uciec lub nie okazał zbrojnego oporu, gdy będą wprowadzali ich do karety.

Najzwyklejsze to zjawisko w życiu więziennem—ucieczka w czasie przewożenia — mogła zupełnie zepsuć całą sprawę; rozpaczna determinacja którego z nich, mogła przeszkodzić w zwróceniu im wolności.

Zabezpieczywszy wszelkie środki ostrożności, rotmistrz powrócił do kancelarji, dokąd przeprowadzono już wszystkich więźniów w liczbie dziesięciu. Obejrzał on ich uważnie i raz jeszcze oczy jego spotkały się z wejrzeniem towarzysza, doskonale pojmującego teraz ostateczny cel mistyfikacji.

Dyżurny w więzieniu, Maciulewicz, zwrócił się do rotmistrza z następującą propozycją:

— Panie rotmistrzu, trzeba zwiększyć pański konwój, ja dam moich ludzi. Mam straż konną.

Na tę propozycję Budberg nieprzyjemnie się zasępił, lecz zdobył się w odpowiedzi na ton miękki:

— Nie, nie potrzeba! moi chłopcy są ludzie pewni... ufam im... wszystko zuch... Dopelnij pan przeglądu aresztantów w mojej obecności... tylko prędzej!

Maciulewicz zaczął wywoływać nazwiska więźniów z listy.

Ta rozmowa o wzmocnieniu konwoju wywarła fatalne wrażenie na niektórych więźniów, którym wydało się, że istotnie powiozą ich na kaźń.

Baron Budberg widział, jak jeden z nich, w przekonaniu, że go niebawem rozstrzelają, zbladł trupio i drżącymi rękami zbierał swe rzeczy, ręce jego tak się trzęsły, że w żaden sposób nie mógł związać dwóch książek i woreczka z cukrem. Żal było parzyć na niego, lecz mimo to nie można było dodać mu otuchy.

Po sprawdzeniu, baron Budberg pokwitował z otrzymania więźniów, i, gdy położył już swój podpis, rzucił obsadkę na podłogę, czyniąc gniewną uwa-

gę, że pióro było niemożliwe. Dyżurny tak wziął to do serca, że zaczął łajać starszego dczorcę od ostatnich, nie zważając nawet na obecność rotmistrza. Ten dołożył jeszcze i od siebie, gromiąc go surowo, że bez względu na jego rozkaz zbyt długo marudził z jednym z aresztantów.

Otrzymawszy tyle surowych napomnień, starszy dozorca zupełnie stracił głowę i znikł z oczu zwierchników, a tymczasem zaczęto wyprowadzać więźniów na ganek.

W ostatniej chwili dyżurny Maciulewicz, nie należąc widocznie do ludzi zbyt odważnych, znów wystąpił z propozycją:

— Panie rotmistrzu, niech pan nie naraża siebie na nieprzyjemne wypadki w drodze. Wszystkiego można oczekiwać. Radzę, żeby pan przybrał jeszcze straż konną. Dla mnie nie sprawi to najmniejszej trudności... ludzie w tej chwili będą gotowi.

— Wszakże już raz panu odpowiedziałem, że nie potrzebuję konwoju — odparł rotmistrz opryskliwie — dlaczego więc pan mnie nudzisz? Moi chłopcy to zuchy i żadnej pomocy nie potrzebują.

Maciulewicz umilkł, poczuwając się do winy, że ośmielił się dwukrotnie niepokoić rotmistrza swemi obawami.

### VIII. Porwanie więźniów.

Kiedy pierwsi aresztanci ukazali się na ganku, starszy policjant zakomenderował:

— Obnażyć szable!

Policjanci przysunęli się ciasniej do otwartych drzwiczek karety, z obnażonymi szablami. Starszy policjant wprowadzał każdego po kolei do karety i pedantycznie spełniał wszelkie możliwe ostrożności, w tych wypadkach przepisane. Kareta więzienna, zaprzężona w parę koni, składała się z dwóch części,

przeznaczonych jedna od drugiej przegradą w drzwi opatrzoną.

W pierwszej części, bliżej woźnicy, umieścili sześciu więźniów, poczem starszy policjant zatrzasnął drzwi wewnętrzne i zamknął je na klucz. Pozostało umieścić jeszcze czterech do drugiego przedziału karety, bliżej drzwi zewnętrznych.

W tej chwili na ganku ukazał się aresztant Judycki, który znany był w więzieniu jako człowiek opętany manją ucieczki. Wykonał on już raz próbę lecz nieudaną, w tym czasie, gdy go prowadzono na śledztwo do sędziego śledczego.

Jego pragnienie zrzcucenia z siebie kajdan więziennych było tak wielkie, tak gorąco i szalenie rwał się do wolności, że stracił głowę i nie zdawał sobie sprawy, że próba ucieczki, gdy szedł przez miasto pod konwojem, nie miała żadnych szans powodzenia, rzucił się też do ucieczki bez upamiętania, lecz natychmiast był pochwycony przez konwój i okrutnie zbity. Bili go wtedy bezlitośnie, z okrucieństwem, wymierzając na nim całą wezbraną w nich złość za szaloną próbę ucieczki.

I oto teraz na ganku ukazała się jego nieszczęsna pokaleczona figura, z zaciekami krwi na twarzy. Na jedną sekundę zatrzymał się on i rozejrzał jak zwierzę osaczony, jakby kombinując, w którą stronę rzucić się, czy niema gdzie jakiej niewidzialnej szczeliny, żeby z całą rozpaczą człowieka, zdecydowanego na wszystko, skoczyć tam; śmierć w walce była wyjściem najlepszym i najbardziej upragnionym.

Starszy policjant odrazu odgadł jego zamiary i groźnie krzyknął:

— No, no... dokąd?... Nie „ujdziesz!”

To rzekłszy, pochwyił go za kołnierz i wepchnął do karety.

Dyżurny pomocnik naczelnika więzienia, stojący

w tym czasie na ganku i przyglądający się w milczeniu tej scenie, bezwiednie pomyślał, że istotnie nie potrzebują oni dodatkowego konwoju; później jednak, gdy ucieczka została ujawniona, Maciulewicz opowiadał, że gdy zobaczył, jak policjanci wypełniali swe czynności i jak starszy z nich załatwiał się zręcznie z Judyckim, zdradzającym zamiary ucieczki, wówczas błysła mu myśl, że nie są to prawdziwi policjanci z surowej szkoły policyjnej, lecz udani, którzy przybyli tu, żeby go tak fatalnie urządzić...

Gdy starszy policjant umieścił w karecie już wszystkich aresztantów, na rozkaz rotmistrza, który w tej chwili wyszedł na ganek, polecił jednemu z policjantów usiąść do karety i zamknął za nim drzwi poczem rozkazał dwóm innym usiąść na kozioł przy woźnicy, a sam z dwoma pozostałymi zajął miejsce z tyłu powozu.

W tej chwili brama roztworzyła się, karetą więzienna wyruszyła na ulicę i skręciła na prawo od bramy.

Budberg pożegnał się wówczas z Maciulewiczem, wyszedł za bramę i, wsiadłszy w dorożkę, odjechał.

Jego rola była skończona.

Wypełnił on ją z nadzwyczajną precyzją i spokojem, jak to mógł uczynić człowiek, działający w imię idei, całą duszą oddany na jej usługi, niepomny na własne „ja”, na własną pomyślność i szczęście.

Na tem, zdawało się, zakończyły się główne i najbardziej niebezpieczne momenty przedsięwzięcia. Uciekinierzy znajdowali się już poza więzieniem, chociaż w zamkniętej karecie więziennej, na której kozle siedział w charakterze woźnicy—stróż więzienny.

Baron Budberg już powrócił do domu, gdzie przez nikogo niezauważony przebrał się po cywilnemu i najspokojniej siedział w przyjacielskiej kompanji, opowiadając swym towarzyszom najdrobniejsze szczegóły wyprawy nocnej.

## IX. Ucieczka.

W istocie jednak, dopełnioną była tylko pierwsza połowa skomplikowanego i trudnego przedsięwzięcia, pozostawała druga, chociaż mniej niebezpieczna, lecz bądź co bądź ryzykowna operacja, pozbycia się agenta policyjnego, który, przy najmniejszym podejrzeniu, mógł w każdej chwili wszczać alarm i popsuć całą sprawę.

Wszędzie po ulicach snuły się patrole wojskowe, przy pomocy których łatwo było udaremnić ucieczkę, tak pomyślnie dokonaną z murów więzienia.

Wszystko teraz zależało od umiejętności i przytomności umysłu starszego policjanta.

Lecz w jaki sposób uwolnić się od tego niepożądanego świadka na kozle?

W jego rękach lejece, on kieruje kareta... A chociaż, na razie nie zwrócił uwagi na to, że kazano mu jechać w przeciwnym od cytadeli kierunku, motywując to koniecznością wstąpienia uprzednio do 3 cyrkułu, skąd dopiero mieli zwrócić się do cytadeli, mógł jednak w każdej chwili odgadnąć mistyfikację i oddać wszystkich w ręce władzy.

Zadanie ciężkie i trudne... Wymagało ono przytomności i odwagi...

Wielkiem utrudnieniem była ta okoliczność, że stracono zbyt wiele czasu wewnątrz więzienia i że świt się przybliżał.

Pierwsze przebłyski budzącego się ranka już się wyczuwały w powietrzu i snuły w mgłę na polu przeczystej, otaczającej kontury przedmiotów.

Nie można już było tracić czasu...

Oto już niedaleko ów cyrkuł, muszą koniecznie zawrócić w drugą stronę.

Za chwilę, być może, zostaną zdemaskowani, o ile nie uda im się pozbyć woźnicy więziennego.

Chwila stanowcza nastąpiła... należało działać.

I oto, nagle, dał się słyszeć głośny okrzyk starszego policjanta:

— Stó—ój... Koło!...

Ten niezrozumiany okrzyk wywołał jednak wrażenie, woźnica odrazu wstrzymał konie, nie pojmując co mogło się stać; siedzący obok niego pseudo-policjant zeskoczył z kozła, a za jego przykładem poszedł i woźnica, oddawszy lejce drugiemu policjantowi, poczem, obydwaj podeszli do tylnego koła, w pobliżu którego stał schylony starszy policjant, nader uważnie przypatrując się czemuś; gdy tamci podeszli, starszy policjant, wskazując palcem na oś, powiedział:

— Patrz, patrz, co się zrobiło?

Ten z kolei nachylił się i mocno wyciągnął się ku przodowi, usiłując rozpatrzeć się w tem, na co mu wskazywał policjant.

I w tej to chwili, naraz, z obydwóch stron pochwyciły go dwie pary silnych rąk; momentalnie zatkano mu chustką usta, żeby nie mógł krzyżeć, poczem podniesiono go do góry, i bez najmniejszego hałasu, bez jakiegokolwiek walki, wsunięto go do wnętrza karety więziennej i złożono na ręce siedzących tam czterech aresztantów i jednego z pseudo-policjantów.

Tam nakazano mu, żeby leżał spokojnie i nie próbował uczynić coś takiego, co mogłoby im zaszkodzić, gdyż momentalnie go zasztyletują.

Woźnica przyjął to naturalnie do wiadomości i leżał spokojnie, bojąc się nawet odдыchać.

Ze strachu dusza uciekła mu w pięty...

### X. W karetkę więziennej.

Nigdy przedtem, we wnętrzu tej ciemnej, dusznej karety więziennej nie wyczuwały się tak ostre wrażenia i emocje duchowe, jak owej noey.

Zaledwie kareta wyruszyła wolno w drogę i znalazła się za bramą więzienia, policjant, zwracając się do aresztantów, powiedział:

— Towarzysze!.. Czy poznajecie nas? Nie upłynie kilka minut, a będziecie wolni... Winszuję wam! Te słowa raziły ich, jak grom. Były one tak nieoczekiwane, że w pierwszej chwili nikt temu nie uwierzył.

Policjant powtórzył pytanie:

— Czyż nie możecie mnie poznać, towarzysze.

I dopiero teraz zrozumieli wszystko... Zrozumieli, że to nie strażnicy policyjni, lecz swoi, którzy szli na śmierć, żeby ich wybawić od śmierci.

Szczególnie szaloną radość odczuł M. W ciągu tych krótkich chwil przeżył on niezapomniany nigdy w życiu moment przejścia od przygnębiającego, ponurego nastroju, wobec oczekiwanej śmierci do uniesień pełni życia na wolności.

Ten gwałtowny przeskok od śmierci do życia wstrząsnął całe jego jestestwo duchowe, wypełniając jego duszę i serce uczuciem tryumfu.

Nagle kareta stanęła...

Wszyscy drgnęli i wytężyli czujność. Zrozumieli, że w tej chwili nastąpi ważny moment—uwolnienie się od ajenta policyjnego.

Każdy zadrżał mimowoli na myśl:

— Czy się uda?

Pseudo-policjant rozdał pośpiesznie wszystkim uciekinierom zapasowe rewolwery, jakie miał przy sobie, otworzył przegrodę wewnętrzną i wsłuchiwał się trwożnie w to, co się działo nazewnątrz karety.

Po upływie kilku ciężkich minut naprężonego oczekiwania dało się słyszeć jakieś zamieszanie, tupanie nóg, następnie drzwi zewnętrzne karety otworzyły się i rzucono im na kolana ajenta policyjnego, zdrętwiałego ze strachu.

Drzwi zatrzasnęły się i kareta pomknęła spiesznie w dalszą drogę.

Wszyscy odetchnęli, z uczuciem ulgi bezmiernej.

## XI. Ocalenie.

Teraz towarzysze mogli przypuszczać, że są już blisko celu, o ile tylko jakaś nieprzewidziana okoliczność nie popsuje im szyków. Trzeba było się spieszyć, żeby zdążyć na krańce miasta, w miejsce uprzednio umówione. Droga była jeszcze daleka, trzeba było przejechać całe miasto i osiągnąć ogrodów.. Czasu pozostało niewiele.

Na dalekim horyzoncie zajaśniało wąskie pasmo świtu. Nowy woźnica nieustannie popędzał parę sitych, mocnych koni i karetę mknęła bardzo prędko, spotykając na drodze patrole wojskowe i pojedynczych, opóźnionych przechodniów, nikt jednak nie zwracał na to uwagi, dokąd tak pędził wóz więzienny i jaki jest przy nim konwój.

Wreszcie okazały się małe drewniane domostwa, długie parkany i ulice niebrukowane.

Karetka wjechała już na przedmieście Warszawy i spieszyła minąć je prędkiej, gdyż punkt upatrzony leżał jeszcze w znacznej odległości, tam gdzie zaczynały się głucho pustkowiec podmiejskie.

Tu nikogo już nie spotykali na drodze, gdyż wszystko było w śnie pogrążone.

Było to na rękę uciekinierom.

W tym czasie, gdy karetę pędziła po ulicach Warszawy, na drugim jej krańcu, na pustem porośniętym trawą podwórzu grupa rewolucjonistów oczekiwała z denerwującą niecierpliwością. Byli oni delegowani przez partję na sukura towarzyszom i stanowili rezerwę.

Obowiązkiem ich było zabrać wszystkie rewolwery i, w razie potrzeby lub jakiegokolwiek alarmu, torować drogę ogniem.

Zbyt długo wyczekiwali karety więziennej i przejęci byli ogromnym niepokojem, gdy ta nie zjawiała się w oznaczonym czasie.

— Czem taką zwłokę objaśnić? Czy nie stało co na przeszkodzie?—myśleli, pełni trwogi.

Podwórze leżało na pustkowiu bezludnem. Było ono otoczone drzewami, krzakami i gęsto porośniętą trawą; dalej ciągnęły się ogrody i niewielkie pole.

Miejsce było bardzo odpowiednie, by bez przeszkody przebrać się, ukryć konie i karetę więzienną.

Odszukanie takiego miejsca, odpowiadającego wszelkim wymaganym ostrożnościom, wymagało wiele czasu i trudu, żeby usunąć zamki i zapory u wrót i zawładnąć niemi na czas oznaczony, co wszystko trzeba wykonać bez zwrócenia uwagi sąsiadów.

Sam właściciel podwórza znajdował się w tym czasie w mieście, nie wiedząc o niczem.

Towarzysze wsłuchiwali się pilnie w najmniejsze szmery, w dalekie, ledwie dosłyszalne odgłosy, idące z wielkiego miasta. Sereca ich były trwożnie...

Lecz oto doleciały jakieś niepewne dźwięki, daleko, daleko... Potem dał się słyszeć tupot nóg konskich, coraz wyraźniej, coraz bliżej. Można już było rozróżnić ciemne kontury długiego pudła...

Wrota otwarły się momentalnie i gdy karetę wtoczyła się na podwórze, konie przywiązano do drzewa, otworzono drzwi więziennego pudła i wyciągnięto stamtąd nieprzytomnego ze strachu woźnicę, którego usta wciąż były chustką zatkałe; związali mu sznurem jedwabnym ręce i nogi, umocowali lepiej chustkę, skropili ją chloroformem, by mocniej zasnął i wpełchnęli ponownie do karety.

Kilku towarzyszków było zdania, żeby go życia pozabawić, gdyż znano go jako skończonego łotra, który brał czynny udział w biciu towarzyszy i odznaczał się szczególnem okrucieństwem oraz talentem szpiegowskim.

Prócz tego, niektórzy wskazywali na niebezpieczeństwo oszczędzania jego życia, ze względu na to, że weźmie żywy udział w poszukiwaniach. Nie zgodzili

się na to inni, twierdząc, że jeżeli się obejdzie bez rozlewu krwi, wrażenie będzie daleko silniejsze.

Ułożywszy woźnicę wewnątrz karety, zamknęli za nim drzwi na klucz, poczem zaczęli prędko przebierać się, zrzucając z siebie uniformy i broń.

Każdemu z uwolnionych wręczono zostały uprzednio przygotowane paczki, w których były: pieniądze, paszport zagraniczny, adres z wskazaniem, gdzie ma przemocować, maszynka do strzyżenia włosów, zapalki i papierosy, które dano im, by uwolnić uciekinierów od konieczności wstępowania do dystrybucji. Ubranie złożono do karety i wszyscy towarzysze, pożegnawszy się serdecznie, zaczęli rozchodzić się w niewielkich grupach.

Odszedłszy na dalszą już odległość, jeden z towarzyszy przypomniał sobie nagle o wielkiej nieostrożności, jaką popełnił, przebierając się; w pośpiechu, zapomniał w kieszeni swego szynela policyjnego notatkę z dokładnym adresem, gdzie miał przemocować jeden z uwolnionych.

Wracać się tam, na miejsce, było rzeczą ryzykowną, poprawienie więc tego przeoczenia było spóźnione i niemożliwe; pozostawał środek ostatni—pośpieszyć do mieszkania, wskazanego na adresie, uprzedzić wszystkich o niebezpieczeństwie grożącym, z tem, by mieszkańcy wynieśli się natychmiast, zacierając za sobą wszelkie ślady. Tak też uczyniono.

Gdy rano, dnia następnego do mieszkania jego przybyła policja, najmocniej przekonana, że w jej rękach znajdują się ślady ucieczki dokonanej i, że niebawem pochwyć osoby, biorące w niej udział, w mieszkaniu nie znaleziono żywej duszy.

## XII. Zakończenie.

Nastąpił ranek. Administracja więzienia śledczego „na Pawiaku“ była niepomiernie zdziwiona, czemu

tak długo nie powraca kareta więzienna i zatelefonowała do cytadeli, pytając o przyczyny opóźnienia. Odpowiedziano stamtąd, że wogóle nie pojmują wcale, o co tu chodzi.

Wówczas zatelefonowano do kancelarji oberpolicmajstra, z prośbą o wiadomość, dokąd odwieziono dziesięciu aresztantów z więzienia śledczego na mocy rozporządzenia oberpolicmajstra Meyera, i czy nie można przyspieszyć odesłania karety więziennej, niezbędną potrzebną do wyprawienia kilku więźniów do sądu.

I oto dopiero teraz wyjaśniło się, że pułkownik Meyer nie dawał żadnych rozporządzeń, i że wszystko, co zaszło, było mistyfikacją dla dokonania zbiorowej ucieczki. Rozpoczęło się poszukiwanie karety, koni i woźnicy.

Po upływie wielu godzin usilnych poszukiwań we wszystkich stronach miasta, udało się trafić i do tej głuchej pustki—miejsca ostatnich śladów ucieczki. Związany woźnica spokojnie spał. Dalsze ślady przepadły jak kamień w wodę.

Najgorliwsze poszukiwania nie doprowadziły do żadnych rezultatów.

Cała policja postawiona była na nogi.

Powozący kareta wziął w poszukiwaniach najenergiczniejszy udział. Wynałazł on aż sześciu baronów Budbergów i dwóch starszych policjantów.

Później, wszakże, po stwierdzeniu osobistości, trzeba było ich wszystkich uwolnić; widocznie woźnica pod wpływem strachu, jaki przeżył, zupełnie zatracił w pamięci fizjognomje, przelotnie widziane.

Opowiadają o jednym z dziesięciu uwolnionych, że następnego poranka udał się on do fabryki, gdzie uprzednio pracował i gdzie mu przypadały jeszcze do odbioru pieniądze.

W kantorze fabryki zdziwiono się, zobaczywszy go na wolności.

Nie odpowiadając w jaki sposób i odkąd znalazł się na wolności i nie wdając się z nikim w jakiegokolwiek wyjaśnienia, otrzymał należną mu zapłatę i natychmiast się oddalił.

W mieście uciezka ta sprawiła ogromne wrażenie. Na ścianach domów naklejono następnego rana odezwy z podpisem centralnego komitetu Polskiej Partji Socjalistycznej o tem, że tej nocy uwolniono przez nią z więzienia śledczego dziesięciu ludzi, którym groziła kara śmierci, oraz że uwolnieni znajdują się bezpieczni po-za granicami wpływów władzy.

Nie wiem, czy rzeczywiście tak było, lecz w jednym z dzienników polskich opowiedziano następujący wypadek nieporozumienia między oberpolicmajstrem Meyerem, a nowym urzędnikiem, który w więzieniu zastąpił Maciulewicza.

Oberpolicmajster wezwał przez telefon dyżurnego w więzieniu i zawiadomił go, że przyśle żandarma i karetę po kilku aresztantów politycznych.

— Co — z oburzeniem zapytał dyżurny — żandarma i karetę?... Mówi oberpolicmajster... nie wie-rzę!... Znamy się na tem. Idźcie do czarta!... póki nie zadzwonię do wydziału ochrony!...

Daremnie rzeczywisty oberpolicmajster starał się go przekonać, że to on, prawdziwy oberpolicmajster, nie nie pomogło, wskutek czego pułkownik Meyer musiał posłać swego pomocnika.

\* \* \*

Ciekawym w najwyższym stopniu w życiu więzienia śledczego był ten moment, gdy dnia następnego, po wywiezieniu dziesięciu uwieczonych, całe więzienie polityczne obudziło się i przerażiło tą okolicznością.

Wszystkim wydało się dziwnem i niepojętem: dokąd i w jakim celu wywieźli najbardziej oskarżonych.

Niektórym przedstawiał się straszny obraz niezwłocznej ich kaźni... Niedawny przykład rozstrzelania bez sądu 16 osób z mocy 12 art. stanu wojennego jeszcze bardziej wzmocnił przypuszczenie kilku towarzyszy, że i tych dziesięciu wywieźli po to, żeby ich stracić o świcie.

Wszyscy z tego powodu przeżywali ciężkie chwile niepewności.

Pytali nadzorców dokąd i w jakim celu wywieziono nocą towarzyszy, lecz odpowiedzi nie otrzymali. Jakież było ich zdziwienie, gdy po przybyciu pustej karety zaczęto z niej wyrzucać szynle policjantów, czapki i szable.

Jak błyskawica, obleciała po całym więzieniu wieść, że wszyscy towarzysze uciekli, że są teraz na wolności i że w dniu wczorajszym odegrano komedję wobec administracji więziennej.



230265